

Z PKF przez Polskę i świat – 0 Edwardzie Gierku, niezniszczalnych nudystach z Chałup, Marku Piwowskim i pączkach

4 listopada 2019

Mniej więcej w okresie intensywnego zainteresowania Piotra Jaroszewicza Polską Kroniką Filmową zadzwoniła do mnie Teresa Andrzejewska, wiceminister Handlu Wewnętrznego, i poinformowała, że pani Stanisławie Gierkowej bardzo się podobał temat o jej synu, profesorze Adamie Gierku.

Polska Kronika Filmowa miała swój oddział w Katowicach, którego szefem był operator Roman Trzeszewski, i to on właśnie ten temat zrealizował. Informacja Teresy była dla mnie jeszcze jednym dowodem na to, że kronikę oglądają także osoby z najwyższych kręgów władzy.

Listy i telefony od widzów sprawiały nam nie tylko przyjemność, ale utwierdzały w przeświadczeniu, że kronika porusza problemy ważne i ciekawe, budzące zainteresowanie widzów. Ich listy inspirowały redaktorów i operatorów. W kilka dni po rozmowie z Teresą Andrzejewską zadzwonił do mnie porucznik z Biura Ochrony Rządu, z prośbą o spotkanie. Kontakty z przedstawicielami BOR-u nie były niczym nadzwyczajnym, bowiem składy ekip (nazwiska, miejsce zamieszkania, a także daty urodzenia) obsługujących wszystkie imprezy na najwyższych szczeblach władzy redakcja za każdym razem wysyłała właśnie do Biura Ochrony Rządu. Porucznik, młody, elegancki mężczyzna, na co zwróciły uwagę koleżanki redakcyjne, poinformował mnie, że pracuje w osobistej grupie chroniącej I Sekretarza KC PZPR i pragnie ze mną ustalić

terminy, kiedy będzie mógł przyjeżdżać po kronikę, którą towarzyszy Gierek obejrzy w domu wraz z rodziną.

Nie powiem, że byłem zachwycony ową wiadomością. Pomyślałem, że pierwszy sekretarz zechce, podobnie jak premier, dawać mi wskazówki i polecenia w sprawie redagowania kroniki. Ale cóż mogłem na to poradzić? Zwykli ludzie nie miewają wszak wpływu na decyzję władz najwyższych, no, chyba, że się zbuntują i masowo tej władzy przeciwstawiają. Wojna z władzą kończy się, niestety, jak wskazuje historia, dla buntowników nie najlepiej, bo albo są strącani w piekielne czeluście (zbuntowani aniołowie) albo tracą pracę, albo bywają internowani lub osadzani w więzieniu, zdarza się niekiedy, że tracą życie. W każdym razie, nie popełnię wielkiego błędu, jeśli napiszę, że owoce buntu konsumuje zupełnie kto inny niż zbuntowane masy. Powiedziałem więc porucznikowi, iż jest mi bardzo miło, ba, czuję się zaszczycony, że towarzyszy Edward Gierek znajdzie czas na oglądanie Polskiej Kroniki Filmowej!

Zapytałem porucznika, czy będzie tak uprzejmy, aby przekazać mi informacje, jak pierwszy sekretarz reaguje na kronikę. Porucznik zgodził się i od tej pory dwa razy w tygodniu wymienialiśmy poglądy.

Dowiedziałem się od niego, między innymi, że telewizja każdego dnia dostarcza "Pierwszemu" kasetę z „Dziennikiem,” gdzie Polska rośnie w siłę, a ludziom żyje się z każdym wydaniem lepiej. Ta cenna wiadomość spowodowała, że zwiększyłem liczbę tematów krytycznych, do tego stopnia, iż zauważyli ten fakt moi przyjaciele w Wydziale Prasy, pytając czy nie przesadzam z krytyką? Wtedy odpowiedziałem, że towarzyszy Gierek ogląda każde wydanie i nic nie mówi, to znaczy, że akceptuje. Mieli nawet do mnie pretensje, że ich nie poinformowałem o tym we właściwym czasie, iż „Pierwszy” ogląda kronikę u siebie w domu.

Porucznik przez pół roku przyjeżdżał regularnie dwa razy w tygodniu na Chełmską. Pewnego dnia nie pojawił się w redakcji.

Sądziłem, że zachorował albo wyjechał na urlop. Zadzwoiłem do niego do BOR-u i dowiedziałem się, że nie będzie przyjeżdżał po kronikę, bo „Pierwszy” nie chce już jej oglądać.

Do dziś nie wiem, dlaczego Edward Gierek zniechęcił się do kroniki. Pocieszałem się, że czyni to najprawdopodobniej z braku czasu.

Przyznam, że decyzja zmartwiła mnie niepomrotnie, przez pół roku, ani razu nie interweniowałem, nie wydałem polecenia, że za dużo w kronice tematów krytycznych. Ale o PKF nie zapomniałem. Na początku 1974 roku otrzymałem od Edwarda Gierka list, który kończył się słowami: „Z okazji Nowego Roku życzę Wam dalszych sukcesów w pracy dziennikarskiej i działalności społecznej, wiele pomyślności dla Was i Waszych najbliższych”. Mimo iż znałem mechanizm wysyłania życzeń, nie ukrywam, że sprawił mi wiele przyjemności. Stał się swego rodzaju glejtem. Raz jeden powołałem się na ten list, aby powstrzymać wybuch złości premiera.

Drugi list napisał do mnie I Sekretarz KC PZPR 10 lipca 1975 roku. Przytaczam go w całości. „Szanowny Towarzyszu Redaktorze! Za kilka miesięcy odbędzie się VII Zjazd Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej. Oceni on postęp, jakiego dokonał nasz naród w okresie, który minął od poprzedniego Zjazdu i wytyczy główne kierunki socjalistycznego rozwoju Polski w latach następnych... Mając na uwadze Wasze osiągnięcia w twórczej pracy dziennikarskiej i zaangażowanie polityczne zwracam się z prośbą o przedstawienie przemyśleń i propozycji w sprawach, którymi Waszym zdaniem powinien zająć się Zjazd. Będę Wam wdzięczny za każdy wniosek, którego realizacja może przyczynić się do przyśpieszenia rozwoju kraju i pomyślności naszego narodu. Jestem głęboko przekonany, że pomożecie swą radą w przygotowaniu programu, z którym nasza partia przyjdzie na VII Zjazd”.

W Wytwórni Filmów Dokumentalnych podobny list otrzymał Roman Wionczek, reżyser bezpartyjny, znany twórca filmów

dokumentalnych. Henryk Jantos, szef dokumentalistów, zorganizował w redakcji dokumentu kilka spotkań, na których artyści-filmowcy zastanawiali się nad odpowiedzią. W redakcji PKF nie odbyło się ani jedno zebranie. Edward Gierek bowiem list skierował do mnie, a ja nie miałem zwyczaju odpowiadać na prywatne listy zespołowo.

W swojej odpowiedzi poinformowałem Edwarda Gierka o wzroście zainteresowania Polską na świecie. Czterdzieści osiem kronik filmowych, (do INA należało 80) z którymi utrzymujemy stałą bezpośrednią wymianę materiałów, zamieściło w 1974 roku 342 polskie tematy. To rekord. W dalszej części listu wspomniałem o kłopotach Polskiej Kroniki Filmowej związanych z zachowawczym stanowiskiem Naczelnego Zarządu Kinematografii, co utrudnia PKF propagowanie Polski na świecie. Poruszyłem też w liście problem organizacji pracy w polskiej gospodarce, któremu poświęca się zbyt mało uwagi. Zobowiązania produkcyjne z okazji różnych rocznic określiłem jako anachronizm w nowoczesnej gospodarce. Wreszcie napisałem o tym, co mnie najbardziej interesowało. „Środowisko dziennikarskie – pisałem – nurtują problemy, które moim zdaniem powinny znaleźć właściwe miejsce w dokumentach Zjazdu. Mam na myśli zagadnienia krytyki w środkach masowego przekazu. Chodzi o to, że ...krytyka ujemnych zjawisk naszego życia nie zawsze spotyka się z aprobatą towarzyszy zajmujących różne odpowiedzialne stanowiska. Często nam, dziennikarzom partyjnym, zarzuca się, że krytykując osłabiamy decyzje podjęte przez rząd i administrację...W świadomości społecznej utrwaliło się przekonanie, że środki masowego przekazu wyrażają i propagują politykę Partii. Poglądy prezentowane przez prasę i telewizję są utożsamiane ze stanowiskiem władzy. Brak zatem, rzeczowej krytyki negatywnych zjawisk jest przyjmowany przez obywateli jako próba ukrycia niedociągnięć i braków”. Wreszcie napisałem o zupełnie nowym zjawisku – wolnych sobót. Młodzież szkolna nie korzystała z wolnych sobót, co pozbawia ją dobrodziejstwa wypoczynku i spędzania wolnego czasu z rodziną.

Dwa listy Edwarda Gierka skierowane do mnie, stały się tarczą, za którą chroniłem się wielokrotnie, pomagały mi przetrwać ataki, często brutalne, i wychodzić obronną ręką w wojnach podjazdowych, jakie toczyli ze mną różni urzędnicy. A co najważniejsze – pozwalały mi pokazywać kraj i jego problemy, krytykować biurokrację i nonsensy występujące w codzienności realnego socjalizmu.

Teraz, gdy patrzę jak rosną szeregi bohaterów zwalczających „komunizm”, nie mogę zrozumieć, dlaczego tak długo trwał on nad Wisłą. Nie należałem do tych bohaterów. Nie byłem przeciwnikiem socjalizmu, sądziłem, że można go zreformować. Ale jestem zdecydowanym przeciwnikiem wszelkich uproszczeń w ocenie przeszłości. Chodzę z podniesioną głową, gdy patrzę, jak współcześni niezależni dziennikarze bez skrupułów manipulują opinią publiczną. Dlatego z taką drobiazgowością opisuję czasy, w których przyszło mi kierować Polską Kroniką Filmową. Pokazałem dość dokładnie relacje między redakcją PKF, a Wydziałem Prasy KC PZPR. Nie zamierzam niczego tuszować. A oto przykład z nieco innej łączki.

Swego czasu wygrzebali mnie z zakamarków niepamięci i zaproponowali rozmowę w TVP. Przed audycją młody dziennikarz, Radosław Brzózka, zapytał mnie, jak układała się współpraca z reżyserami filmów dokumentalnych? Poprosiłem go, aby nie zadawał mi owego pytania przed kamerą, bo to temat bardzo rozległy i nie zdołam odpowiedzieć w ciągu sześciu minut, które otrzymałem na cały występ; nie starczyłoby mi czasu na inne pytania. Mogę tylko stwierdzić, że wyglądała nie najlepiej, zapewne z winy obu stron. Nie przedstawiała się jednak beznadziejnie, skoro wielu reżyserów korzystało z pomocy kroniki w sytuacjach podbramkowych, czyli w sytuacjach tzw. zdjęć uciekających.

Aby reżyser filmu dokumentalnego mógł rozpocząć zdjęcia, musiał mieć zatwierdzony scenariusz i oczywiście budżet. Oto reżyser X złożył wszystkie potrzebne dokumenty do filmu o katastrofach. Scenariusz musiała zatwierdzić komisja, wydatki

– inna komisja. Ponadto, film musiał mieć kierownika produkcji, bo tak jest w każdej szanującej się kinematografii. Pokonanie tych wszystkich biurokratycznych procedur wymagało sporo czasu. I właśnie w czasie zatwierdzania scenariusza i kosztorysu wydarzyła się prawdziwa katastrofa. Wtedy twórcy filmów dokumentalnych zwracali się do PKF i nasza ekipa pod ich światłym kierownictwem zdjęcia realizowała.

Mniej więcej w taki sposób opisałem redaktorowi Brzózce zdarzenie hipotetyczne. A teraz posłużę się przykładem jak najbardziej prawdziwym. Wraz z dojściem do władzy Edwarda Gierka wiele zmieniło się w polityce wyjazdowej za granicę. Polscy artyści coraz częściej udawali się na Zachód, niektórzy z nich spędzali nawet urlopy na francuskich, hiszpańskich i włoskich słonecznych plażach. A na tym zgniłym Zachodzie wyemancypowane panie na przykład, opalały się bez staników. Widziałem to na własne oczy, choć nie jestem artystą. Ba, w tych „zepsutych” krajach istniały wydzielone plaże dla nudystów, a mówiąc językiem pana Leppera: dla golasów.

He, he, he! Nasi artyści, nie licząc się z obowiązującą nad Bałtykiem moralnością z pod znaku dwa razy K – Kościół i komuna – przenieśli zachodnie zwyczaje do Chałup! Pamiętacie piosenkę „Chałupy welcome to?” No i zaczęli (artystki i artyści) opalać się jak ich Wszechmogący stworzył. Tymczasem nasza czujna milicja socjalistyczna, (o moherowych beretach nikt jeszcze wówczas nie słyszał śpiewano, owszem o „rudym rydzu”, bo oj-dyr Rydzyk pobierał chyba dopiero nauki moralne i finansowe w seminarium), zaczęła się za wydrami i pojmała polskich „golasów” obrażających „K-k” moralność! I o tym zamierzał zrealizować film utalentowany reżyser, największy prześmiewca PRL-u, sam Marek Piwowski!

Zwrócił się do redaktora Piotra Halbersztata o pomoc. Piotr przekazał mi prośbę reżysera, wyraziłem zgodę na wyjazd ekipy zdjęciowej, ale na wszelki wypadek poleciłem red. Halbersztatowi, by zapytał władze regionalne, czy nie mają zastrzeżeń, że będziemy przebieg kolegium karno-orzekającego w

Pucku filmować. Piotr zadzwonił do przewodniczącego Prezydium Powiatowej Rady Narodowej w Pucku i Wydziału Spraw Wewnętrznych Prezydium WRN w Gdańsku i zgodę otrzymał. Sławny reżyser wyjechał z ekipą PKF do Pucka...

Jeszcze nie zdążył wrócić na Chełmską, gdy zadzwonił do mnie towarzysz Manfred Gorywoda z KC PZPR i zadał mi proste pytanie: dlaczego wysłaliśmy ekipę filmową do Pucka i co tam robił Marek Piwowski? Wyjaśniłem, że pan Piwowski nie podszywa się pod kronikę, bo to ja wyraziłem zgodę na jego wyjazd, ponieważ reżyser zamierza realizować film na ten temat, a o rozprawie kolegium dowiedział się w ostatniej chwili (zdjęcia uciekające) więc mu pomogłem.

Manfred Gorywoda należał do ludzi światłych, przyjął ze zrozumieniem wyjaśnienie. Intuicja i doświadczenie podpowiedziały mi abym napisał notatkę wyjaśniającą. Poleciałem wysłać wyjaśnienia towarzyszowi Gorywodzie. I całą sprawę uznałem za zamkniętą. Jak się okazało przedwcześnie.

Biuro Kontroli Urzędu Rady Ministrów zażyczyło sobie obejrzenie materiału z Pucka. Poinformowałem przedstawiciela biura, że materiał jest już wywołany, ale jeszcze nie ułożony. Ustaliłem termin projekcji i natychmiast zadzwoniłem do pana Marka Piwowskiego do domu, opowiedziałem, jakie mam kłopoty i poprosiłem, aby pomógł wybrać odpowiednie fragmenty, które pokażę przedstawicielom Biura Kontroli URM.

Odpowiedź, jaką usłyszałem dosłownie mnie sparaliżowała. Marek Piwowski oznajmił, że kłopoty związane z materiałem z Pucka to mój problem, a nie jego. Nie wierzyłem własnym uszom. Wielki reżyser, a człowiek... Gdyby przebieg kolegium karno-orzekającego w Pucku filmowała normalna ekipa Polskiej Kroniki Filmowej, sądzę, że nie wywołałoby to takiego zainteresowania władz najwyższych, ale osoba największego szydery w kraju wzbudziła czujność i podejrzenia.

Stosunkowo najłatwiej poszło z Manfredem Gorywodą, moje

wyjaśnienia i notatka wystarczyły. Biuro Kontroli Urzędu Rady Ministrów po obejrzeniu materiału (zaznaczam – części materiału) nie miało żadnych zastrzeżeń, przedstawiciel Ministerstwa Spraw Wewnętrznych (bo i ten resort oglądał skrócony materiał) nie dopatrył się naruszenia przepisów, nie dostrzegł żadnego niebezpieczeństwa dla kraju i socjalizmu. Mieliśmy bowiem na filmowanie zgodę Wydziału Spraw Wewnętrznych Prezydium WRN, przewodniczącego prezydium PRN, no i samego przewodniczącego kolegium karno – orzekającego. Kiedy myślałem, że sprawa jest tym razem definitywnie zakończona, musiałem pisać nową notatkę, tym razem dla premiera.

Napisałem w niej: „Pragnę zaznaczyć, że realizacja tematu nie jest równoznaczna z jego opublikowaniem. Polska Kronika Filmowa realizuje około 100 tematów miesięcznie – publikuje natomiast 60-70. Materiały, które nie wchodzą do wydań są przeznaczone do archiwum. Koszty realizacji dwóch tematów w Pucku wyniosły: Delegacje i noclegi – 2055, 42 zł; Transport 875 km x 4,75 zł – 4156, zł; Taśma filmowa 1260 M. x 4,39 zł – 5531 zł; Razem koszt dwóch tematów – 11 742 zł. Koszt jednego tematu – 5871 zł. Zawsze, bowiem przy realizacji zdjęć dźwiękowych synchronicznych oprócz operatora obrazu, jego asystenta i oświetlacza bierze udział operator dźwięku i jego asystent. W sprawie materiału realizowanego w Pucku prowadziło dochodzenie Biuro Kontroli Urzędu Rady Ministrów. Pragnę zaznaczyć, że nie dopatrzyło się naruszenia przez naszą redakcję normalnego toku postępowania. Składaliśmy też w tej sprawie wyjaśnienia dla tow. Manfreda Gorywody z KC PZPR... Kierownictwo Polskiej Kroniki Filmowej nie zostało do tej pory poinformowane o tym, że nasza ekipa źle się zachowała w Pucku... Prosimy, zatem o bliższe dane, które ułatwią nam wnikliwe i sumienne potraktowanie zarzutów”.

Byłem wówczas jeszcze zastępcą redaktora naczelnego PKF. Wyjaśnienia pisałem ja, bo to ja, podczas nieobecności redaktora naczelnego kroniki, wyraziłem zgodę na wyjazd ekipy do Pucka. Można powiedzieć, że był to mój pech, choć nie

tylko. Minęła rocznica Rewolucji Październikowej, obchodzona w listopadzie, Boże Narodzenie i Nowy Rok. Zdążyłem awansować na szefa PKF, zapomniałem o Pucku, aż tu pewnego majowego dnia zjawił się w moim pokoju kierownik archiwum WFD i złożył pismo następującej treści: „W sierpniu ub. r. został przekazany do Archiwum niewykorzystany temat PKF pt. „Proces nudystów i homoseksualistów /nr. Poz. 28767 – bez dokumentacji/”. Zawiera on 9 pudełek kopii magnetycznej 35 mm, 5 pudełek kopii obrazu i 5 pudełek negatywu. Łącznie stanowi to 19 pudełek. Treścią tematu są dwie rozprawy przed Kolegium Orzekającym. W czasie opracowania tematu w naszym Wydziale stwierdzono, iż nie posiada on wartości archiwalnych i wydaje się wątpliwe, aby był kiedykolwiek wykorzystany w PKF lub filmie dokumentalnym. Z uwagi na ograniczone możliwości przechowywania materiałów filmowych w magazynach i stosunkowo krótki czas żywotności taśmy magnetycznej – proponujemy zniszczenie materiału pozytywowego i negatywowego i skasowanie taśmy magnetycznej. Kierownik Wydziału Archiwum. E. Muszka”.

Propozycja E. Muszki była dla mnie niezrozumiała. Wiedziałem, że nie jest on z zawodu archiwistą i dlatego nie poprosiłem go, by jak najszybciej opuścił mój pokój. Uzasadnienie E. Muszki, że w archiwum nie ma miejsca dla 19 pudełek zakrawało na ponury żart. Przez ten temat miałem bardzo dużo kłopotów, nie wiele brakowało, abym stracił pracę. A ponadto po tylu kontrolach i napisanych wyjaśnieniach zdążyłem się do materiału przywiązać, choć nigdy nie obejrzałem go w całości.

Nie odmówiłem E. Muszce natychmiast. Znałem już na tyle środowisko, w którym pracowałem, że moja odmowa zapoczątkowałaby następne starania i naciski. Dlatego powiedziałem, że nie mogę podjąć decyzji, bo archiwum mi nie podlega; wyjazd Marka Piwowskiego do tego stopnia zbulwersował przedstawicieli najwyższych władz, iż muszę zapytać o zgodę, to znaczy uzyskać aprobatę Wydziału Prasy.

Oczywiście, nie pytałem nikogo, wiedziałem jaką uzyskam odpowiedź. Po kilku dniach poinformowałem E. Muszkę, że

Wydział Prasy nie akceptuje jego propozycji i zwróciłem mu pismo. W mojej obecności kierownik wydziału archiwum dokonał osobistej adnotacji na dokumencie. Ale temat ten nie przestał mnie prześladować.

Od 1973 roku upłynęło dużo czasu, po wprowadzeniu stanu wojennego straciłem pracę, zmienił się ustrój w Polsce, przeszedłem na emeryturę i los sprawił, że poznałem człowieka-legendę opozycji, Mirosława Chojeckiego, który wysłuchawszy moich opowieści, zainteresował się nimi i był skłonny (jako producent filmowy) wyprodukować kilka dziesięciominutowych odcinków o PRL.

Wspólnie z Ewą Bielską, która pracowała w PKF „za moich czasów,” złożyliśmy trzy próbne scenariusze, a wśród nich ten o rozprawie kolegium w Pucku, pt. „Chałupy welcome to.” Miał to być dziesięciominutowy odcinek o obyczajach, w którym znalazłaby się śmieszna sekwencja z rozprawy w Pucku, zdjęcia współczesne z plaż zagranicznych i tych w Chałupach, oczywiście. W archiwum WFD materiał z kolegium karno – orzekającego opatrzone adnotacją, że jest chroniony ustawą o ochronie danych osobowych. Nie wierzyłem własnym oczom! Od 1972 roku, kiedy temat zrealizował Marek Piwowski, do 2004 roku upłynęły 32 lata. W czasie panowania „komuny” manipulatorzy, indoktrynerzy, propagandyści i Bóg wie, jaka jeszcze czerwona swołocz nie wpadli na pomysł wykorzystania taśm filmowych z Pucka w niecnym celu. Cóż takiego zapisano na celuloïdzie, że nie można w demokracji go wykorzystać?

Wyrzucam sobie, że przez lenistwo, w 1972 roku, nie obejrzałem go w całości. Ale o Marku Piwowskim, który już wówczas cieszył się sławą czołowego prześmiewcy, zapamiętałem krążącą na Chełmskiej anegdotę.

W Warszawie gościła delegacja węgierskich filmowców, po suto zakrapianej kolacji na drugi dzień rano na roboczych obradach nie pojawił się tłumacz. Poszukiwania nie dały żadnego rezultatu, postanowiono, więc, że spotkanie zostanie

przełożone. Wówczas Marek Piwowski oznajmił, że zna węgierski i może tłumaczyć, jeśli dyskutanci, oczywiście, nie będą używali zbyt skomplikowanego języka.

Gdy na mównicy pojawił się przewodniczący węgierskiej delegacji, Marek Piwowski stanął obok niego. Po kilku zdaniach wypowiedzianych przez Węgra zaczął tłumaczyć, co brzmiało mniej więcej tak: „przewodniczący węgierskiej delegacji pragnie gorąco podziękować polskim kolegom za serdeczne przyjęcie i znaną na całym świecie gościnność...” skinieniem głowy dał znać węgierskiemu koledze, by mówił dalej... „Wczorajsza kolacja – tłumaczył – dowiodła, że słynne powiedzenie, iż Polak Węgier dwa bratanki... jest ciągle aktualne, żywotne i twórczo rozwijane...” Polscy filmowcy byli zaskoczeni płynnością tłumaczenia Marka Piwowskiego, oto ujawnił jeszcze jeden talent! Gdy Węgier skończył przemówienie i zamierzał zejść z podium, Marek Piwowski powstrzymał go na chwilę i dodał: „Węgierski kolega pragnie na zakończenie zapytać, czy wśród polskich filmowców jest przedstawiciel służb specjalnych? W węgierskiej delegacji jest przedstawiciel tych służb i czy chciałby z polskim kolegą wymienić doświadczenia i pamiątkowe znaczki...”

Przypadki interwencji władz partyjnych i państwowych przed ukazaniem się materiału w kronice zdarzały się bardzo rzadko. W mojej pamięci przechowały się dwa o mniejszym znaczeniu. W okolicy Sandomierza sfilmowaliśmy, jak sadownicy wysypują do rowów jabłka, których nie przyjęły punkty skupu. Ekipa nie zdążyła wrócić do Warszawy, a już zakazano nam go publikować.

Andrzej Wajda poprosił mnie, by kronika odnotowała, jakieś – lecie firmy Blikle. Wysłałem ekipę na Nowy Świat z przyjemnością, albowiem ciasta i pączki Bliklego smakują wybornie, a moja rodzina zalicza się do wiernych klientów firmy. Do dziś, ilekroć żona wybiera się do Szwajcarii, nasza wnuczka Gucia, urodzona w Bernie, zawsze prosi o przepyszne serniki i pączki. Wtedy sprawa przybrała niespodziewany obrót. Operator po zakończeniu zdjęć wkroczył do redakcji z dwoma

kartonami paczków, które ze smakiem spałaszowaliśmy. Po zaplanowaniu tematu do wydania, kiedy materiał znajdował się już w montażowni, zadzwonił Mieczysław Wojtczak i poinformował mnie, że Komitet Warszawski PZPR nie życzy sobie tematu o Bliklem w Polskiej Kronice Filmowej.

Znałem Mietka Wojtczaka osobiście, jeszcze z Wydziału Dziennikarskiego Uniwersytetu Warszawskiego, nie sądziłem ani wtedy ani teraz, że był to jego pomysł. Zapytałem go wprost: czy nie macie poważniejszych tematów? „Mamy, ale nic nie poradzimy, gdy sekretarzowi paczki Bliklego nie smakuja” – odpowiedział Mietek. Nie pobieglem jednak z tą informacją do Andrzeja Wajdy, nie wypadało skarżyć się na instancję partyjną, byłem wszak tej partii członkiem.

Jak z tego wynika, z „oczka w głowie” władze przeróżnych szczebli oka nie spuszczały.

Autorstwo: Mirosław Chrzanowski

Źródło: Trybuna.pl